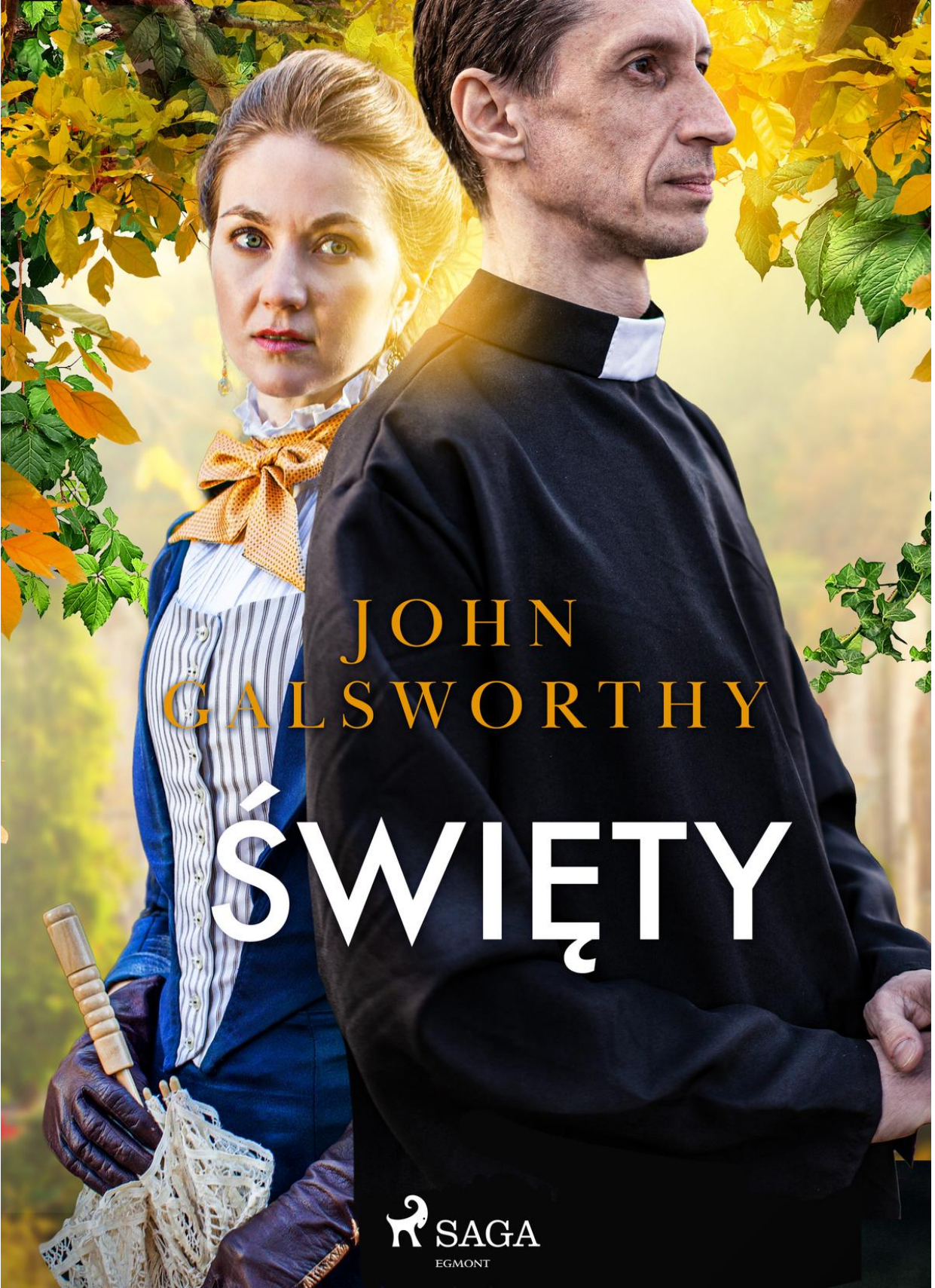


JOHN
GALSWORTHY

ŚWIĘTY

 SAGA
EGMONT



JOHN
GALSWORTHY

ŚWIĘTY

 SAGA
EGMONT

John Galsworthy

Święty

Tłumaczenie Stella Landy

Saga

Święty

Tłumaczenie Stella Landy

Tytuł oryginału *A Saint's Progress*

Język oryginału angielski

Język, postacie i poglądy zawarte w tej publikacji nie odzwierciedlają poglądów ani opinii wydawcy. Utwór ma charakter publikacji historycznej, ukazującej postawy i tendencje charakterystyczne dla czasów, z których pochodzi.

W niniejszej publikacji zachowano oryginalną pisownię.

Copyright © 1919, 2022 SAGA Egmont

Wszystkie prawa zastrzeżone

ISBN: 9788728482650

1. Wydanie w formie e-booka
Format: EPUB 3.0

Ta książka jest chroniona prawem autorskim. Kopiowanie do celów innych niż do użytku własnego jest dozwolone wyłącznie za zgodą Wydawcy oraz autora.

Język, postacie i poglądy zawarte w tej publikacji nie odzwierciedlają poglądów ani opinii wydawcy. Utwór ma charakter publikacji historycznej, ukazującej postawy i tendencje charakterystyczne dla czasów z których pochodzi.

www.sagaegmont.com

Saga jest częścią Grupy Egmont. Egmont to największa duńska grupa medialna, należąca do Fundacji Egmont, która każdego roku wspiera dzieci z trudnych środowisk kwotą prawie 13,4 miliona euro.

ROZDZIAŁ PIERWSZY.

Taki dzień budził w sercu radość. Czerwiec wywiesił wszystkie swe odświętne chorągwie; słońce i maki rozlśniły się ognście; białe motyle wzlatywały w górę, zataczając wesołe kręgi, a pszczoły uwijały się na kielichach lwich pyszczków. Lipy zaczynały się już okrywać kwieciem. Wysokie białe lilje na ogrodowych grzędach rosły już na wyścigi z polnemi ostróżkami, białe i czerwone róże stały w pełnym rozkwicie, ukazując swe złote serduszka w ujęciu nastroszonych płatków. Lieciuchny wietrzyk poruszał powietrzem, a cichy szmer i brzęk i bzykanie rozbrzmiewało i milkło naprzemian nad głową Edwarda Piersona, powracającego z samotnej przechadzki do Opactwa Tintern.

Przybył dopiero dziś rano do Kestrel, siedziby swego brata Roberta, położonej nad brzegiem rzeki Wye. Po drodze zatrzymał się w Bath i zdołał się już częściowo opalić w ten szczególny sposób, właściwy ludziom, którzy zbyt długo przebywają w Londynie. Kiedy tak szedł długą, obsadzoną gęsto drzewami aleją, popłynęła ku niemu melodia zagranego od niechcienia walca. Uśmiechnął się, usłyszawszy dźwięki fortepianu, gdyż muzyka była jego największą namiętnością. Ciemne, przyprószone siwizną włosy odczesane miał od zgrzanego czoła, które wachlował słomkowym kapeluszem. Czoło, choć niezbyt szerokie, było jednak najszerszą częścią tej wąskiej, pociągłej twarzy, wydłużonej jeszcze przez krótką, spiczastą bródkę. Twarz taką mógłby namalować Van Dyck, twarz, której każdy rys był poważny i łagodny z wyjątkiem lśniących, szarych oczu,

okolonych siecią małych zmarszczek. Patrzyły na świat z pod płowych rzęs z dziwnym wyrazem, jakby nie widziały, co się przed nimi znajduje. Szedł szybkim krokiem, choć był zmęczony i zgrzany; wysoki, prosty, szczupły, nosił popielatą szatę kapłańską. Na czarnej kamizelce z kaszmiru kołysał się mały złoty krzyż.

Ponad domem brata, którego ogród biegł skośnie wdół aż po tor kolejowy i rzekę, wybudowano osobno wielki pawilon. Pierson stał w miejscu, w którym aleja się rozwidlała; radował się tonami walca i chłodnym podmuchem wiatru, igrającego w klonach i brzozech. Człowiek pięćdziesięcioletni, obdarzony poczuciem piękna, urodzony i wychowany na wsi, musi bardzo boleśnie tęsknić za otoczeniem, w jakim wyrósł, jeżeli przez długi czas przebywa nieprzerwanie w Londynie. To też popołudnie, spędzone w starem Opactwie, było dla niego niemal, że czemś świętem. Utonął wszystkimi zmysłami w przesyconej słońcem zieleni piętrzącego się przed nim lasu; śledził pajęczki i małe, błyszczące żuki, muchołówki i wróble w bluszczu; dotykał mchów i porostów, patrzył w oczy kwiatkom i marzył, niewiadomo o czym. Jastrząb szybował w górze, wysoko nad lasem — Edward Pierson uleciał z nim razem w błękity. Miał wrażenie, jakby wykapał swą duszę, jakby z niej zmył szare londyńskie troski.

Już od roku pracował zupełnie sam na swojej parafji, gdyż jego wikary zaciągnął się do wojska, jako kapelan. Był to jego pierwszy wypoczynek od dwóch lat, od czasu wybuchu wojny, a zarazem pierwsza jego wizyta w domu brata. Spojrzał wdół na ogród i wgórze na rosnące wzdłuż alei drzewa. Bob znalazł wspaniałe schronienie po ćwierćwieczu, spędzonym na Ceylonie. Drogi stary Bob! Uśmiechnął się na myśl o bracie, którego opalona twarz i rozwichrzone bokobrody przypominały trochę bengalskiego tygrysa. To najlepszy chłop pod słońcem! Tak,

znalazł w istocie idealny dom dla Thirzy i dla siebie. Edward Pierson westchnął.

I on miał kiedyś idealny dom, idealną żonę; rana, zadana przez jej śmierć piętnaście lat temu, zawsze jeszcze krwawiła. Żadna z córek, ani Gracja, ani Noel nie była podobna do żony. Gracja przypominała raczej jego własną matkę, a jasne włosy i wielkie szare oczy Noel przywodziły mu na myśl kuzynkę Leile, która — biedactwo! — zmarnowała swe życie i teraz podobno zarabia na utrzymanie śpiewem w południowej Afryce. Mój Boże! Jaka to była śliczna dziewczyna!

Przynęcony nieustającą melodią walca dotarł do drzwi salonu. Wisiała tam kretonowa firanka. Usłyszał szelest posuwistych kroków i ujrzał swą córkę Noel, tańczącą powolnie w takt muzyki w ramionach młodego oficera w mundurze. Płynęli wciąż wkoło i wkoło, czasem posuwali się wtył, czasem w bok dziwnymi krokami, które widocznie musiały wejść niedawno w modę, nie znalazł ich bowiem zupełnie. Przy fortepianie siedziała siostrzenica jego, Ewa, z przekornym uśmiechem na rumianej twarzyczce. Edward Pierson patrzył na swą młodą córkę. Oczy jej były nawpół przymknięte, policzki blade. Jasne, całkiem krótko ścięte włosy układały się w loki wokół smukłej, krągłej szyi. Była napozór zupełnie chłodna; tem ogniściej płonął młodzieniec, w którego ramionach płynęła przez pokój. Piękny to był chłopak, o twarzy słonecznej i rumianej, błękitnych oczach i delikatnym złotym meszku na górnej wardze. Edward Pierson pomyślał: „Ładna para!“ Przemknęło mu przez myśl wspomnienie: ujrzał siebie i Leile tańczących podczas dawno minionych majowych uroczystości sportowych w Cambridge. Leila obchodziła wtedy siedemnaste urodziny, tak, że musiała być o rok młodsza od Nolli. A to był zapewne ów młody człowiek,

o którym mu córka pisała w listach z ostatnich trzech tygodni. Czy oni wogóle nie zamierzali przerwać tańca?

Podszedł bliżej, tak, że musieli go zobaczyć i rzekł:

— Czy nie jesteś bardzo zgrzana, Nolli?

Rzuciła mu całusa. Młody człowiek drgnął i zmieszał się, a Ewa zawołała:

— To zakład, wuju; kto wytrzyma dłużej, oni — czy ja.

Pierson rzekł łagodnie:

— Zakład? Ależ dzieci!

Noel szepnęła przez ramię:

— Nie szkodzi, tatusiu! — A młody człowiek wysapał: — Założyła się o jedno ze swoich szczeniąt, ja postawiłem moje szczeniátko przeciw jej pieskowi!

Pierson usiadł odurzony nieco sennem brzdąkaniem na fortepianie, powolnym kołowaniem tańczących i zmrużonemi, zamglonemi oczyma swej młodej córki, która patrzyła na niego przez ramię, ilekroć go mijała w tańcu. Siedział z uśmiechem na ustach. Nolli dorastała! Teraz, od czasu kiedy Gracja wyszła zamąż, czuł ciężącą na nim odpowiedzialność. Ach, gdyby jego droga żona żyła! Uśmiech zamarł mu na ustach, na twarz wystąpił nagle wyraz wielkiego zmęczenia. Walki moralne i fizyczne, jakie musiał staczać ustawicznie w ciągu ostatnich piętnastu lat, przygniatały go czasem do ziemi. Każdy inny mężczyzna na jego miejscu byłby się powtórnie ożenił, ale jemu wydawało się to zawsze świętokradztwem. Kościół zezwalał wprawdzie na powtórne małżeństwo, jednak wedle przekonań Piersona prawdziwy związek trwał na wieki.

Przyglądał się młodziutkiej córce z uczuciem zadowolenia i niepokoju. Czyż to mogło jej wyjść na dobre? Wydawali się oboje bardzo szczęśliwi i tyle było w młodych stworzeniach uczuć, których nie mógł zrozumieć. Noel, taka tkliwa, taka rozmarzona, czasem robiła wrażenie, jakby ją jakiś djabeł opętał. Edward Pierson przypisywał

owe żywiołowe wybuchy temu, że straciła matkę jako maleńkie dziecko. Gracja bowiem, starsza zaledwie o dwa lata, nie mogła zastąpić jej matki. To zadanie przypadło w udziale ojcu, a Pierson zdawał sobie niejasno sprawę, że mu się to niezupełnie udało.

Siedział i patrzył na nią z żartobliwym zatroskaniem. Nagle rzekła tym swoim delikatnym głosem, który nadawał każdemu słowu lekko pogardliwe brzmienie:

— Teraz mam dość! — Usiadła obok niego, sięgnęła po jego kapelusz i zaczęła się nim wachlować.

Ewa uderzyła triumfalny akord:

— Hurra! Wygrałam!

Młody człowiek wyszeptał:

— Mówię ci, Noel, bylibyśmy jeszcze wytrzymali!

— Wiem, ale tatuś zaczynał się nudzić, prawda, kochany?

To jest Cyryl Morland.

Pierson uścisnął dłoń młodego człowieka.

— Tatusiu już ci się nos opalił!

— Wiem, drogie dziecko.

— Mogę ci dać świetną białą maść! Musisz się nią nasmarować na noc. Wujaszek i ciotka używają jej oboje.

— Nolli!

— No tak, Ewa tak twierdzi. Jeżeli idziesz się kąpać, Cyrylu, to uważaj na ten wir!

Młody człowiek, patrząc na nią z nieukrywanym podziwem, mruknął:

— Dobrze! — I wyszedł.

Noel odprowadziła go oczyma. Po chwili Ewa przerwała milczenie:

— Jeżeli chcesz się kąpać przed herbatą, Nolli, to pośpiesz się.

— All right. Czy było ładnie w Opactwie, tatusiu?

— Cudownie. Było to, jak wielka, potężna muzyka.

— Tatuś tłumaczy zawsze wszystko na muzykę. Powinieneś widzieć Opactwo w świetle księżyca; wtedy dopiero wygląda bosko. All right, Ewo. Już idę. — Nie wstała jednak, a kiedy Ewa wyszła z pokoju, wzięła ojca pieśczośliwie pod ramię i szepnęła:

— Jak ci się podoba Cyryl, tatusiu?

— Drogie dziecko, cóż ja mogę powiedzieć? Ładny z niego zdaje się chłopak.

— All right, tatusiu. Nie wysilaj się! Ślicznie tu, prawda?

— Wstała, przeciągnęła się lekko i odeszła. Z główką, otoczoną krótkimi lokami, robiła wrażenie bardzo wysokiego dziecka.

Pierson, patrząc jak znika za firanką, pomyślał: — Co to za urocze stworzenie! — Wstał także, ale zamiast iść za nią, podszedł do fortepianu i zaczął grać preludjum i Fugę Mendelсона E-moll. Miał doskonałe uderzenie, a gra jego przepojona była jakąś rozmarzoną namiętnością. W muzyce znajdował ujście dla rozterek, żalów i tęsknot; drogę wyjścia, która go nigdy nie zawodziła.

W Cambridge miał zamiar studjować muzykę, jako swój przyszły zawód, ale tradycja rodzinna przeznaczyła go do przyjęcia święceń kapłańskich; porwał go też panujący wtedy w kościele anglikańskim nowy prąd, dążący do odrodzenia emocjonalnej wiary. Rozporządzał zawsze własnymi dochodami. Kilka pierwszych lat wykonywania zawodu przepędził najszcześliwiej w parafji, położonej w East-End. Wprawiało go w zachwyt przeświadczenie, że ma nietylko sposobność, ale także możność niesienia pomocy biednym. Sam był człowiekiem prostym, więc prosty lud parafji zawładnął jego sercem. Jednak po ożenku z Agnes Heriot otrzymał własne probostwo na pograniczu East i West i pozostał tam nawet po jego śmierci, której omal nie przypłacił życiem. Lepiej było trwać dalej w miejscu, gdzie praca i całe otoczenie

przypominało mu kobietę, której nie chciał w nowym związku zapomnieć. Zdawał sobie jednak sprawę, że praca nie dawała mu już takiego zadowolenia, jak za życia żony i w czasach młodości. Wątpliwe było, czy Pierson po dwudziestu sześciu latach pracy kapłańskiej zdawał sobie obecnie sprawę z tego, w co właściwie wierzył. Wszystko zostało dawno opisane i ustalone przez tysiące jego własnych twierdzeń. Umacniać się na nowo w wierze, sięgać na nowo jej dna — równałoby się usunięciu fundamentów z pod stojącego jeszcze gmachu. Niektórzy ludzie mają skłonność do pogrążania się w czemś nieokreślonym, w czemś, dla czego każde wyznanie wiary jest jednakowo nieodpowiednie. A jednak Edwardowi Piersonowi bezwątpienia bardziej odpowiadały dogmaty kościoła anglikańskiego, aniżeli religja Zaratustry. Subtelne zmiany i ograniczenia, jakim te dogmaty uległy pod wpływem czasu i wiedzy, nie wywoływały w jego duszy poczucia niestałości i zdrady. Wrażliwy, współczujący, wojowniczy tylko w najgłębszej głębi serca, unikał instynktownie dyskusyj, poruszających tematy drażliwe dla niego, czy dla innych. A ponieważ od człowieka, który nie opierał swego światopoglądu na rozumie, najmniej można było żądać racjonalnego uzasadnienia czegokolwiek, więc nastroczała mu się tylko rzadka sposobność zgłębiania jakiejś rzeczy do dna. Tak, jak w starym Opactwie uleciał w nieskończoność razem z jastrzębiem. żuczkami i zielenią, tak i teraz przy fortepianie dźwięki, które sam tworzył, porwały go w odmęty uczuciowości. Nie zdawał sobie przytem sprawy, że jest w jednym ze swych najbardziej religijnych nastrojów.

— Czy nie przyjdiesz na herbatę, Edwardzie?

Kobieta, stojąca za nim w sukni koloru bzu, miała jedną z tych twarzy, które zachowują na zawsze wyraz niewinności, choć właścicielkom ich jako matkom przypadła

w udziale dokładna znajomość życia. W czasach cierpień i obaw, jak obecne czasy wielkiej wojny, Thirza Pierson była osobą nieocenioną. Nie rozwodziła się nigdy nad żadnymi kosmicznymi zagadnieniami, umiała jednak potwierdzić istnienie pewnych praw kosmicznych, jak na przykład, że choć cały świat objęty jest wojną, istnieje przecież taka rzecz jak pokój; że choć wszystkim matkom zabijają synów, istnieje przecież macierzyństwo; że w czasach, kiedy każdy żyje przyszłością, istnieje mimo wszystko teraźniejszość. Spokój, serdeczność i pewna rzeczowość zachowania, lśniące, jakby wilgotne oczy wytrzymały próbę dwudziestotrzechletniego pobytu na plantacjach herbaty w gorącej części Ceylonu; wytrzymały próbę współżycia z Bobem Piersonem; wytrzymały próbę wiecznej obawy o dwóch synów na froncie i zwierzeń prawie wszystkich istot ludzkich, jakie napotykała na swej drodze. Nic nie zdołało jej wytrącić z równowagi. Była jak obraz przedstawiający „Dobroć“, pędzla jakiegoś starego mistrza, odrestaurowany przez Kate Greenaway. Nigdy nie szła życiu na spotkanie, ale gdy zdarzyło się, że stanęła z niem oko w oko, umiała sobie doskonale poradzić. W tem leżała tajemnica jej siły i dlatego to obecność jej działała zawsze na Piersona kojąco. Wstał i poszedł z nią razem przez trawnik w kierunku wysokiego drzewa, które rosło na krańcu ogrodu.

— Jak sądzisz, Edwardzie, czy Noel dobrze wygląda?

— Bardzo pięknie. A ten młody człowiek, Thirzo?

— Tak, obawiam się, że jest w niej po uszy zakochany.

Usłyszawszy okrzyk niezadowolenia, jaki mu się mimowoli wyrwał, ujęła go pod rękę swem miękkim okrągłym ramieniem:

— Biedaczek, pójdzie niedługo na front.

— Czy mówiła co z tobą?

— On mówił ze mną. Nolli ani słowa.

— Dziwne dziecko z tej Nolli, Thirzo.

— Nolli jest słodka, ale czasem trochę szalona.

Pierson westchnął. Pod drzewem, gdzie przygotowano wszystko do herbaty, „trochę szalona“ osoba siedziała na huśtawce. — Jaka ona śliczna! — pomyślał i westchnął ponownie. Usłyszał głos brata wysoki i chrypliwy, jakby nadpsuty przez klimat Ceylonu:

— Niepoprawny marzyciel z ciebie, Ted! Zjedliśmy ci już wszystkie maliny. Daj mu trochę marmolady, Ewo; musi umierać z głodu! Fu! Co za skwar! Chodź moja droga, nalej mu herbaty! Hallo Cyryl! Dobra była kąpiel? Na Boga, chciałbym sam mieć mokrą głowę! Siadajże, tam, obok Nolli; ona się będzie huśtała i odganiała od ciebie muchy!

— Wujaszku, daj mi papierosa!

— Co? Twój ojciec nie...

— To tylko, żeby odegnać muchy. Pozwolisz, tatusiu, prawda?

— Jeżeli to konieczne, moja droga.

Noel pokazała zęby w uśmiechu. Oczy jej błyszczały wilgotnym blaskiem z poza długich rzęs.

— Nie jest konieczne, ale zato bardzo przyjemne.

— Aha — rzekł Bob Pierson. — Toś ty taka, Nolli?

Noel potrząsnęła przecząco głową. W tej chwili wydawała się ojcu dziwnie dorosła, dziwnie zrównoważona, kiedy się tak huśtała nad głową młodego chłopca, siedzącego u jej nóg, na którego pogodnej twarzy malowało się jedno wielkie uwielbienie. — Ona już nie jest dzieckiem! — pomyślał. — Moja droga Nolli!

ROZDZIAŁ DRUGI.

Przebudzony przez to codziennie powtarzające się okrucieństwo, jakim jest przyniesienie gorącej wody do mycia, Edward Pierson leżał w pokoju o kretonowych firankach i myślał, że jest w Londynie. Pszczoła, szukając miodu w kwiatach, stojących w wazonie na parapecie okna, i zapach polnych róż rozwiały to złudzenie. Rozsunął firanki, przyklęknął na ławce i wychylił głowę przez okno. Poranne powietrze było odurzająco słodkie. Mgła otulała rzekę i niebieskie za nią lasy. Dwie pliszki spacerowały po błyszczącej w słońcu rosie. — Dzięki Ci, Boże, za tyle piękna! — pomyślał. — Biedni ci chłopcy na froncie! — Klęczał, oparłszy łokcie o parapet i zaczął odmawiać pacierz. Przepęniało go teraz to samo uczucie, które nakazywało mu dbać o upiększenie swego kościoła, używać kościelnych strojów, dobrej muzyki i kadzideł. Bóg objawiał się w pięknie tego świata, tak samo, jak i w swym kościele. Można Go było czcić w gaju bukowym, pięknym ogrodzie, na wysokiej górze, nad brzegiem lśniącej rzeki. Bóg był w szmerze liści, brzęku pszczoły, w rosie na trawie, w zapachu kwiatów. Bóg był we wszystkim! Pierson szeptem dodał do swej codziennej modlitwy następujące zdanie: — Dzięki Ci, o Panie, za moje zmysły. Utrzymaj je w nas wszystkich, aby były wrażliwe i wdzięczne za piękno. — Pozostał przez chwilę bez ruchu, opanowany jakimś dziwnym uczuciem szczęśliwej tęskności, graniczącej z melancholią. Wielkie piękno robiło zawsze na nim takie wrażenie. Tak mało tego piękna można było ogarnąć — a nigdy nie można się było dosyć niem

nacieszyć. Któż to powiedział mu niedawno: — Umiłowanie piękna jest właściwie tylko instynktem płciowym, którego nic, prócz zupełnego połączenia, nie zadowoli. — Ach tak, Jerzy — mąż Gracji. Jerzy Laird! Mała zmarszczka zarysowała się między jego brwiami, jakby poczuł ukłucie ciernia. Biedny Jerzy! Ale właściwie wszyscy lekarze wyznają w głębi duszy materializm, choć mogą to być wspaniali ludzie. Świetny chłop, ten Jerzy, zapracowuje się na śmierć tam we Farncji. Nie można ich wszystkich brać zbyt poważnie. Zerwał gałązkę głogu i poniósł ją do nosa błyszczącego jeszcze od białej maści, której mu Noel nakazała używać. Wdychał słodką woń tych małych szorstkich listeczków i uczuł nagle dotkliwy ból w sercu. Odrzucił gałązkę i cofnął się. Precz z tęsknotą, precz z melancholją; w tak piękny poranek jak dziś, szkoda każdej chwili spędzonej w domu.

Była niedziela. Nie musiał mimo to odprawiać trzykrotnie mszy i nie musiał wygłosić przynajmniej jednego kazania. Ten dzień wypoczynku miał być tym razem również i dla niego prawdziwym świętem. Wyprowadzało go to prawie z równowagi. Przez zbyt długi czas czuł się, jak koń dorożkarski, któryby padł na ziemię, gdyby go ktoś odprzągnął od dyszla. Zaczął się ubierać z determinacją i nie był jeszcze całkiem gotów, kiedy usłyszał pukanie do drzwi i głos Nolli:

— Czy mogę wejść, tatusiu?

W jasnoniebieskiej sukni z różą „Gloire de Dijon“ wpiętą w miejscu, skąd wykwitowała jej lekko opalona na brązowy ton szyja, robiła na ojcu wrażenie uosobienia świeżości.

— Oto list od Gracji. Jerzy został odesłany do domu chory. Leży w naszym mieszkaniu. Gracja wzięła urlop ze szpitala, aby móc przyjechać do domu i pielęgnować go.

Pierson przeczytał list. — Biedny Jerzy.

— Kiedy mi pozwolisz zostać pielęgniarką, tatusiu?

— Musisz poczekać, aż skończysz osiemnaście lat.

— Mogłabym z łatwością powiedzieć, że już skończyłam osiemnaście lat. Brakuje mi tylko miesiąca, a wyglądam i tak na więcej.

Pierson uśmiechnął się.

— Czy nie?

— Moznaby ci przypisać każdy wiek od piętnastu do dwudziestu pięciu lat stosownie do tego, jak się zachowujesz.

— Chciałabym być możliwie jaknajbliżej frontu.

Trzymała głowę w ten sposób, że słońce ujmowało złocistą aureolą jej twarzyczkę nieco szeroką, zbyt szeroką może na linii czoła, nad którym jasno brązowe włosy układały się w miękkich falach. Nos miała krótki i niezdecydowany, owal policzków krągły jeszcze, jak u dziecka, cerę woskowo białą i lekkie cienie pod oczyma. Ale wargi jej, słodkie bardzo, choć kapryśne, a nadewszystko szare oczy wielkie, rozmarzone i pełne życia — wskazywały, że kaczątko przedzierzgnęło się już w łabędzia. Nie mógł jej sobie wyobrazić w stroju pielęgniarki.

— To coś całkiem nowego, nieprawdaż, Nolli?

— Obie siostry Cyryla Morlanda są w polu. On sam też niedługo wyruszy. Wszyscy idą.

— Gracja nie była jeszcze na froncie. Nauka pielęgniarstwa trwa długo.

— Jedna przyczyna więcej, żeby nareszcie zacząć.

Wstała, spojrzała na niego, spojrzała na swoje ręce, chciała coś powiedzieć, ale milczała. Lekki rumieniec wystąpił na jej policzki. Wkońcu zapytała, aby podtrzymać rozmowę:

— Czy idziesz do kościoła? Zapewniam cię, że warto słyszeć, jak wuj Bob czyta Biblię, szczególnie gdy się zgubi w tekście. Nie, nie wkładaj jeszcze surduta, proszę cię.

Masz czas włożyć go przed wyjściem do kościoła. Nie chcę, żebyś go teraz wkładał!

Pierson posłusznie zrezygnował ze surduta.

— Widzisz, za to dostaniesz moją różę. A twój nos wygląda dziś stanowczo przystojniej.

Pocałowała go w nos i wpięła mu różę do butonierki. — Zrobione. Chodźmy! — Poszli na dół trzymając się pod rękę. Pierson wyczuwał, że przyszła z zamiarem powiedzenia czegoś, czego mu nie powiedziała.

2.

Ponieważ Bob Pierson był najzamożniejszy w całej gminie, więc on właśnie czytał głosem wysokim i sapiącym teksty z Biblii, przyczem nigdy nie starczało mu oddechu do końca zdania. Wszyscy zebrani w kościele byli do tego przyzwyczajeni i nie widzieli w tem niczego dziwnego; Bob Pierson był typowym szlachcicem wiejskim; to też musiał wetknąć wszędzie swoje trzy grosze. Niepokoił właściwie tylko własną rodzinę. Noel w drugim rzędzie ławek, patrzyła z poważną miną na profil ojca, siedzącego w pierwszej ławce i myślała: — Biedny tatuś! oczy mu poprostu z głowy wychodzą! O, tatusiu! Uśmiechnij się prędiutko, bo ci to jeszcze zaszkodzi. — Obok niej młody Morland w mundurze, sztywny i smukły, myślał: — Ona nie myśli o mnie. — Właśnie w tej chwili poczuł, że jej mały paluszek zahaczył o jego mały palec. Edward Pierson myślał: — Drogi stary Bob! — A obok niego Thirza myślała: — Biedny, drogi Ted! Jak to dobrze dla niego, że sobie raz gruntownie odpocznie. Muszę go dobrze odżywiać — jest za chudy. — Ewa myślała: — Och, tato, litości — ale Bob Pierson pomyślał: — Dobra nasza! jeszcze tylko trzy linijki! — Mały paluszek Noel oderwał się od ręki młodego Morlanda, oczy jej poszukały jego oczu i zajaśniały

blaskiem, który nie gasł przez cały czas śpiewów i modlitw. Wkońcu szmer pełen szacunku rozszedł się po kościele. Zebrani zajęli miejsca. Człowiek w komży wszedł na kazalnicę.

— Nie przyszedłem do was ze słowami pokoju, tylko z mieczem.

Pierson podniósł wzrok. Przejęło go uczucie głębokiego spokoju. Miłe światło było w tym kościele. Bzykanie ciężkiej, wiejskiej muchy nadawało ciszy zupełnie inne zabarwienie. Żadna myśl krytyczna nie budziła się w nim, żadne podniecenie. — Teraz posłucham czegoś, co mi dobrze zrobi — myślał. — To piękny tekst; kiedyż to miałem ostatni raz na ten temat kazanie? — Odwrócony nieco od reszty słuchaczy, nie widział niczego poza miłym obliczem kapłana, przemawiającego z ponad ozdobionej rzeźbami, dębowej kazalnicy; od tak dawna nie słuchał kazania, od tak dawna nie miał wakacyj! Słowa płynęły ku niemu, padały na jego czoło, starały się dotrzeć do głębi, napotykały na przeszkodę i przebrzmiewały. — Dobrze, proste kazanie! — myślał. — Mam wrażenie, że nie mam już tej bezpośredniości; nie umiem...

— Nie myślcie, drodzy bracia, — brzmiały monotonne, a poważne słowa kazania, — iż drogi Pan nasz mówiąc, że przynosi nam miecz, myślał o prawdziwym mieczu. Niewątpliwie miał na myśli miecz ducha, jasny miecz ducha, który przez wszystkie wieki torował sobie drogę poprzez więzy krępujące ludzi, a ukute przez ich własne zachcianki, ukute przez ludzi dla innych ludzi, by dogodzić swym ambicjom, czego najjawniejszym przykładem jest napaść srogiego nieprzyjaciela na mały kraj sąsiedni, który nie wyrządził mu żadnej krzywdy. Drodzy bracia, my wszyscy możemy przynieść miecze. — Broda Piersona podniosła się gwałtownym ruchem w górę. — Wszyscy możemy przynieść miecze, — pomyślał, — miecze —

nie spałem chyba — napewno nie! — Ale musimy mieć przeświadczenie, że nasze miecze są jasne; jasne nadzieją i jasne wiarą, żebyśmy mogli widzieć, jak lśnią żywym blaskiem, torując nam poprzez cielesne żądze doczesnego życia drogę do Królestwa Bożego, w którym jedynie znajdziemy pokój, zupełny pokój. Módlmy się.

Pierson nie zamknął oczu, otworzył je, upadając na kolana. W ławce za nim Noel i młody Morland uklękli także. Każde z nich zakryło twarz jedną dłonią; ale jego lewa ręka i jej prawa spoczywały obok siebie. Modlili się nieco dłużej niż inni, a kiedy się podnieśli z klęczek, śpiewali hymn głośniej od innych.

3.

Żadnej gazety nie było w niedzielę w Kestrel — nawet lokalna gazeta, która od tak dawna i z taką wytrwałością starała się przyczynić nagłówkami do wygrania wojny, nie wychodziła w niedzielę. Żadne nowiny o uśmierconych ludziach nie ożywiały ciszy gorącego czerwcowego popołudnia i sennego nastroju, jaki ogarniał wszystkich po niedzielnym śniadaniu cioci Thirzy. Niektórzy spali, niektórym wydawało się że nie śpią... Tylko Noel i młody Morland szli w górę przez las ku polanie, zarosłej wrzosem i janowcem, położonej wysoko u stóp tak zwanych Kestrelskich Skał. Z ust tych dwojga młodych nie padło jeszcze żadne słowo o miłości. Dotychczas tylko spojrzenia i dotknięcia były wyrazem ich rosnącego pociągu ku sobie.

Młody Morland kolegował w szkole i na uniwersytecie z dwoma chłopcami Piersonów, którzy byli teraz na froncie. Nie miał własnego domu, gdyż rodzice jego umarli. Nie była to też jego pierwsza wizyta w Kestrel. Kiedy przyjechał trzy tygodnie temu, aby tu spędzić ostatni urlop przed wyruszeniem na front, i kiedy ujrzał dziewczynę, siedzącą

w małym powoziku przed stacją, zrozumiał, że los jego jest przesądzony. Ale któż mógł wiedzieć, kiedy się Noel zakochała? Przypuszczalnie cała jej istota była nastawiona na to uczucie. Ostatnie dwa lata spędziła na jednej z tych pierwszorzędných doksztalcających pensyj, które mimo bardzo rozsądnego programu nauki, a może właśnie z powodu tego, pobudzają zawsze pewne skryte zainteresowanie dla płci odmiennej. Wiadomo, że nawet najpoważniejsze usiłowania nie zdołają w zupełności zagłuszyć instynktu, zwłaszcza wtedy, gdy instynkt ten pobudzony jest do żywego na widok znikania wszystkich młodych mężczyzn w paszczy Molocha — militaryzmu. Myśli Noel i jej szkolnych koleżanek obracały się wciąż dokoła spraw, które w czasach przedwojennych, w czasach pokoju i przeróżnych możliwości, mogły być uważane za rzeczy drugorzędного znaczenia. Miłość, Małżeństwo i Macierzyństwo, wiekuiste przeznaczenia kobiety, dla tych młodych istot stawały pod znakiem zapytania. Nic więc dziwnego, że starały się osiągnąć to, co im się wymykało z rąk.

Kiedy młody Morland zaczął za nią wodzić oczyma, zdradzając w ten sposób, co się w nim dzieje, Noel była zadowolona. Uczucie zadowolenia przerodziło się w lekkie podniecenie. Z podnieczonej stała się rozmarzona... A potem na tydzień przed przyjazdem ojca ona sama zaczęła skrycie wodzić oczyma za młodym człowiekiem; stała się kapryśna i trochę okrutna. Gdyby się tu znalazł inny młody człowiek, któremoby można okazywać względy! — ale nie było żadnego; zaczęła się więc przymilać do brązowego setera wuja Boba. Cyryl Morland był w rozpacz. Przez ostatnie trzy dni djabeł, którego się jej ojciec obawiał, opanował ją w zupełności. A potem, jednego wieczora, kiedy wracali we dwoje do domu przez świeżo skoszone łąki, rzuciła mu skośne spojrzenie. Wyszeptał — O Noel! co ja ci złego

zrobiłem? — Chwyciła go za rękę i uścisnęła ją mocno. Co za zmiana! Co za cudowna przemiana od tej chwili!...

Młody Morland piął się przez las w milczeniu i myślał: — Dziś zbiorę się na odwagę i powiem wszystko. — Noel też szła w górę milcząc i myśląc: — Pocałuję go, jeżeli mnie pocałuje. — Drżała z oczekiwania, a jednocześnie czuła w sobie dziwną omdlałość. Wielki kapelusz ocieniał jej twarz; nie patrzyła na niego. Promienie słońca przedzierały się przez każdą szparkę w listowiu i ożywiały cudownie zielen pnącego się w górę lasu; lśniły na liściach buków, dębów i brzozy; padały na ziemię, tworząc małe strumyki światła; malowały jasne plamy na pniach drzew i na trawie, na mchach, na paprociach; motyle goniły się w tem słońcu, szła życia opanował tysiące mrówek, komarów i muszek. Cały las zdawał się zaklęty czarem, jak gdyby słońce było szczęśliwym duchem, który wstąpił w las, aby w nim zamieszkać. W połowie drogi, w miejscu, skąd mogli przez rzednące drzewa widzieć w głębokiej dali połyskującą powierzchnię rzeki, usiadła na grubym pniaku bukowym, a młody Morland przystanął i patrzył na nią. Czemu właśnie taka twarz, a nie inna, ten głos a nie inny pobudza nasze serce do żywszego bicia? Dlaczego dotknięcie jednej dłoni wywołuje rozkosz, a dotknięcie innej nie wywołuje niczego? Przyklęknął i przycisnął usta do jej stopy. Oczy jej rozbłysły; wstała jednak i pobiegła dalej — nie spodziewała się, że pocałuje ją w nogę. Słyszała, że goni za nią i przystanęła, oparłszy się o pień brzozy. Dopadł jej i, nie wyrzekłszy słowa, przycisnął wargi do jej warg. Nadeszła dla nich ta chwila życia, której żadne słowo nie zdoła określić. Znaleźli swe zaczarowane miejsce i nie ruszali się z niego. Siedzieli, objawszy się ramionami, a szczęśliwy duch lasu patrzył na nich. Nic tak nie pobudza szybkiego rozwoju miłości, jak wojna. To, co w normalnych czasach trwałoby

sześć miesięcy, stało się tu w przeciągu trzech tygodni. Szybko minęła godzina. Wkońcu Noel rzekła:

— Muszę pomówić z tatusiem, Cyrylu. Miałam zamiar powiedzieć mu coś dziś rano, ale myślałam, że lepiej będzie poczekać, bo nuż ty się nie odezwiesz?

Morland odparł: — Och, Noel!

Podczas tej rozmowy na górze imię jej powracało mu stale na usta. Minęła druga, krótka godzina; Morland rzekł:

— Zwarjuję chyba, jeśli się nie pobierzemy, nim wyruszę!

— Jak długo trzeba jeszcze czekać?

— Króciutko, jeżeli się pośpieszymy. Mam sześć dni urlopu, a może komendant da mi jeszcze jeden tydzień, jeżeli mu powiem, że się żenię.

— Biedny tatuś. Pocałuj mnie jeszcze, — długo.

Kiedy „długi“ pocałunek się skończył, rzekła:

— Więc będę mogła pojechać z tobą i być blisko ciebie, aż wyruszysz? Och, Cyrylu!

— Och, Noel!

— Może nie będziesz musiał wyruszyć tak prędko. Nie idź, jeżeli się tylko da!

— Jeżeli się tylko da, kochanie; ale to niemożliwe.

— Pewnie, że niemożliwe. Ja wiem.

Młody Morland szarpnął się za włosy.

— Każdy jest teraz w tej samej sytuacji, ale to nie może trwać wieki. A teraz, skoro jesteśmy zaręczeni, możemy być razem przez cały czas, aż dostanę pozwolenie na małżeństwo. A potem...

— Tatuś nie będzie zadowolony, że się nie pobierzemy w kościele, ale mnie to wszystko jedno!

Młody Morland patrzył na jej zamknięte oczy i na długie rzęsy, sięgające do policzków i myślał: — Mój Boże! Jakież jestem szczęśliwy!

Jeszcze jedna, krótka godzina minęła, nim Noel uwolniła się z jego uścisku.

— Musimy teraz iść, Cyrylu. Pocałuj mnie raz jeszcze.

Zbliżała się pora obiadowa, kiedy pobiegli wdół.

Edward Pierson, powracający właśnie z wieczornego nabożeństwa, podczas którego czytał tekst z biblji, ujrzał ich zdaleka i zacisnął wargi. Niepokoiła go ich długa nieobecność! Jak powinien był postąpić? Czuł się dziwnie obcy i nieporadny wobec marzeń młodej miłości. Kiedy tego samego wieczora otworzył drzwi swojego pokoju, ujrzał Noel, siedzącą w szlafroku na oknie. Zalewał ją całą blask księżyca.

— Nie zapalaj światła, tatusiu, chcę ci coś powiedzieć.

Wzięła do ręki mały, złoty krzyż, wiszący na jego kamizelce i zaczęła się nim bawić.

— Jestem zaręczona z Cyrylem; chcemy się pobrać w tym tygodniu.

Słowa te były dla Edwarda Piersona, jak uderzenie obuchem. Nie zważając na jego okrzyk mówiła śpiesznie dalej:

— Widzisz, my się musimy pobrać; Cyryl może lada dzień wyruszyć w pole.

Pomimo swego bolesnego zmieszania musiał przyznać, że słowa jej nie były pozbawione racji. Rzekł jednak:

— Moja droga, jesteś jeszcze dzieckiem. Małżeństwo jest jedną z najpoważniejszych rzeczy w życiu; znasz go dopiero trzy tygodnie.

— Wiem to wszystko, tatusiu — głos jej brzmiał tak nedorzecznie spokojnie. — Ale nie możemy sobie pozwolić na czekanie. Widzisz, on może nigdy nie wrócić, a wtedy straciłabym go na zawsze.

— Ależ Noel, gdyby miał nigdy nie wrócić, to będzie dla ciebie o wiele gorzej.

Wypuściła z ręki krzyżyk, chwyciła go za rękę i przycisnęła ją do serca. Głos jej ciągle jeszcze brzmiał spokojnie.

— Nie, tatusiu, o wiele lepiej. Myślisz, że nie umiem sobie zdać sprawy z moich uczuć, ale tak nie jest.

Pierson - człowiek zmiękł, serce Piersona - kapłana stwardniało.

— Nolli, prawdziwe małżeństwo, to związek dusz; a do tego potrzeba czasu. Trzeba czasu, aby się przekonać, czy macie te same upodobania i myśli, czy macie te same uczucia.

— Tak, wiem o tem; ale my je mamy.

— Nie można się poznać w ciągu trzech tygodni — nie wyrażaj się z taką pewnością.

— Ale nie żyjemy przecież w zwykłych czasach, prawda? Ludzie muszą się teraz śpieszyć ze wszystkim. O, tatusiu! Bądź dobry! Mama zrozumiałaby mnie napewno i pozwoliłaby!

Pierson wysunął rękę z jej dłoni; zabolowały go te słowa: przypominały mu stratę, przypominały mu, że nie umiał należycie zastąpić córkom matki.

— Posłuchaj, Nolli! — rzekł. — Mimo, że już tyle lat minęło od chwili, gdy od nas odeszła, jestem zawsze tak samo samotny, gdyż właściwie byliśmy jednym. Jeżeli wyjdiesz za tego młodego człowieka, nie zdając sobie lepiej sprawy ze swych uczuć, niż to jest możliwe po tak krótkim czasie, możesz tego gorzko pożałować. Może się okazać, że to była tylko pusta namiętność. Z drugiej zaś strony, jeżeli mu się coś stanie, nim będziecie mogli zacząć prawdziwe małżeńskie życie, będziesz miała o wiele silniejsze uczucie żalu i straty aniżeli, jeśli jako narzeczeni poczekacie do końca wojny. Prócz tego, moje dziecko, jesteś jeszcze o wiele za młoda.

Siedziała tak nieruchomo, że spojrzał na nią zaniepokojony.

— Ale ja muszę!

Zagryzł wargi i rzekł surowo:

— Nie możesz, Nolli.

Wstała i zanim zdołał ją zatrzymać, wybiegła z pokoju. Skoro tylko zamknęła drzwi za sobą, cały jego gniew uleciał, ustępując miejsca zatroskaniu. Biedne dziecko! Cóż tu począć z tem samowolnem pisklęciem, co się ledwie wykluło z jaja, a jużby chciało popróbować własnych skrzydełek? Myśl, że leży pewnie teraz w swoim pokoju zrozpaczona i może płacząca — nie dawała mu spokoju. Wszedł na korytarz i zapukał do jej drzwi. Nie otrzymał odpowiedzi i wszedł. W ciemnym pokoju jaśniał pas księżycowego światła i w tej poświacie ujrzał ją leżącą na łóżku z twarzą zwróconą do poduszki. Podszedł cicho do niej i położył rękę na jej głowie. Nie poruszyła się. Zaczął głaskać jej włosy i rzekł:

— Droga Nolli, nie miałem zamiaru cię martwić. Gdybym był twoją matką, wiedziałbym napewno, jak ci to wszystko wytłumaczyć i jak cię przekonać, ale jestem przecież tylko starym, nieporadnym tatusiem.

Obróciła się i przysiadła ze skrzyżowanymi nogami na łóżku. Widział, jak oczy jej błyszczały. Nie rzekła słowa, jakby wiedziała, że siła jej leży w milczeniu.

Z rozpaczą w głosie powiedział:

— Musisz mi pozwolić pomówić o tem z twoją ciotką. Ona ma dużo zdrowego rozumu.

— Dobrze.

Pochylił się nad nią i ucałował jej gorące czoło.

— Dobranoc, drogie dziecko, nie płacz! Przyrzeknij, że nie będziesz!

Skinęła potakująco głową i podniosła twarzyczkę. Poczuł na czole dotknięcie jej gorących warg. Odszedł pocieszony nieco.

Lecz Noel siedziała dalej na łóżku, oplótłszy rękoma kolana, zasłuchana w ciszę nocy i w pustkę. Każda minuta stracona bezpowrotnie — każda minuta z tego krótkiego, krótkiego czasu, który mogła przecież spędzić razem z nim!

ROZDZIAŁ TRZECI.

Pierson przebudził się po niespokojnie przespanej nocy. Śniło mu się, że wędruje po niebie, jak zatracona dusza.

Kiedy wrócił do swego pokoju wczorajszego wieczora, musiał ciągle myśleć o tem, jak niepotrzebnie powiedział: — Nie płacz, Nolli! — Uświadomił sobie bowiem z niepokojem, że nie zbierało jej się wcale na płacz. O nie; uczucie, które ją opanowało, nie miało nic wspólnego ze łzami. Widział ją ciągle przed sobą, siedzącą na łóżku w niepewnym świetle, sztywną i zagadkową, jak chińska figurka. Czuł ciągle jeszcze dotknięcie jej rozpalonych warg. Gwałtowny, dziewczęcy wybuch łez byłby jej ulżył i byłby dla niego rękojmią na przyszłość. Miał niemiłe przekonanie, że jego odmowa była dla niej tak bez znaczenia, jakby jej wcale nie wypowiedział. A ponieważ nie mógł o tej porze nocy pójść do fortepianu i grać, więc padł wkońcu na kolana i modlił się długo, prosząc Boga, aby mu wskazał, jak ma postąpić. Modlitwa jednak nie została wysłuchana.

Przy śniadaniu winowajcy zachowywali się nader skromnie. Niktby nie przypuszczał, że godzinę temu siedzieli nad rzeką oplótłszy się ramionami, zapatrzeni w uciekające fale, rozmawiając niewiele, gdyż wargi ich zbyt były zajęte. Pierson poszedł z bratową do pokoju, gdzie co rano układała kwiaty. Przyglądał się jej przez chwilę, jak odłączała pnące róże od bratków i bławatki od ogrodowego groszku, zanim rzekł:

— Mam wielkie zmartwienie, Thirzo. Nolli przyszła do mnie wczoraj wieczorem. Wyobraź sobie! Chcą się pobrać — ci młodzi!

Thirza, która umiała brać życie takim, jakim było, nie okazała zbytniego wzruszenia. Policzki jej tylko zabarwiły się żywszym rumieńcem i oczy bardziej się zaokrągliły. Wzięła do ręki gałązkę rezedy i rzekła ze spokojem:

— Co mówisz, mój drogi?

— Pomyśl Thirzo — to dziecko! Mój Boże, przecież to dopiero rok, czy dwa lata temu, jak siadała mi na kolanach i muskała mnie po twarzy włosami.

Thirza nie przerywała układania kwiatów.

— Noel jest starsza, niż przypuszczasz, Edwardzie. Jest nad wiek dojrzała. A prawdziwe małżeńskie życie zaczęłoby się dla nich dopiero później — o ileby się wogóle zaczęło.

Pierson był nieomal przerażony. Słowa bratowej były w jego pojęciu wprost karygodnie lekkomyślne.

— Ale, ale — wyjąkał, — sam związek, Thirzo! Któż może wiedzieć, co się stanie, nim oni się znów zejdą!

Spojrzała na jego rozedrganą twarz i rzekła łagodnie:

— Rozumiem, Edwardzie; obawiam się jednak, że w obecnych czasach Noel mogłaby zrobić coś nieobliczalnego, jeżeli im nie dasz pozwolenia. Mówiłam ci już raz, że jest czasem zupełnie szalona.

— Noel będzie mi posłuszna.

— Nie wiem! Jest teraz takie mnóstwo wojennych małżeństw.

Pierson odwrócił się.

— Według mnie te małżeństwa są okropne. Czemże właściwie one są? Poprostu chwilowem zaspokojeniem namiętności. Moznaby się doskonale bez nich obejść.

— Są przedewszystkiem zapewnieniem pensji — rzekła Thirza spokojnie.

— Thirzo, to, co mówisz, jest cyniczne; a pozatem nie ma nic wspólnego z tym wypadkiem. Nie mogę znieść myśli o tem, że moja mała Nolli ma się tak oddać cała dla

jednej krótkiej chwili, która może być końcem wszystkiego, albo może się okazać początkiem nieszczęśliwego małżeństwa. Co to za chłopak? Czem on jest? Nie wiem o nim nic. Jakże mogę mu ją dać — to przecież niemożliwe! Jeżeli będą zaręczeni przez jakiś czas, jeżeli go poznam bliżej — wtedy, może; nawet mimo młodości. Ale tak, w roznamiętnieniu, na łeb na szyję — to nie jest w porządku, to nie jest przyzwoicie. Nie mogę pojąć — doprawdy nie mogę pojąć, jak takie młode dziecko może tego pragnąć. Cała rzecz w tem, że moja mała, biedna Nolli nie zdaje sobie sprawy z tego, o co mnie prosi. Nie zna istoty małżeństwa, nie umie jeszcze zrozumieć jego świętości. Ach, gdyby żyła jej matka! Pomów z nią, Thirzo; ty potrafisz powiedzieć jej niejedno, czego ja nie umiem.

Thirza patrzyła za nim jak odchodził. Pomimo kapłańskiej szaty, a może właśnie z powodu niej, wydawał jej się podobny do małego dziecka, które przyszło do niej pokazać bolący palec. Skończyła układać kwiaty i wyszła, aby poszukać bratanicy. Nie musiała iść daleko; Noel stała w hallu, czekając na nią najwidoczniej. Wyszły razem w aleję.

Dziewczyna zaczęła odrazu:

— Szkoda słów, ciociu. Cyryl stara się już o pozwolenie na małżeństwo.

— O! więc zdecydowaliście się już?

— Tak.

— Czy uważasz, że postępujecie wobec mnie lojalnie, Nolli? Czy myślisz, że byłabym go zaprosiła, gdybym była przypuszczczała, że coś takiego się stanie?

Noel uśmiechnęła się tylko.

— Czy masz choćby słabe wyobrażenie, czem jest właściwie małżeństwo?

Noel skinęła potakująco głową.

— Doprawdy?

— Ależ naturalnie. Gracja jest zameżna, a oprócz tego w szkole...

— Twój ojciec jest temu bardzo przeciwny. Będzie to dla niego ciężkie przejście. To prawdziwie święty człowiek, nie powinnaś mu sprawiać zmartwienia. Czy nie mogłabyś przynajmniej poczekać, aż Cyryl dostanie następny urlop?

— Widzisz, ciociu, on go może już nigdy nie dostać.

Słowa te musiały znaleźć oddźwięk w sercu kobiety, której chłopcy też byli na froncie i mogli też więcej nie powrócić na urlop. Spojrzała na bratanicę z nawpół świadomem zrozumieniem tego buntu życia, zagrożonego przez śmierć, buntu młodości, na którą czyhało zniszczenie. Noel miała zęby zaciśnięte i rozchylone wargi; patrzyła nieruchomo przed siebie.

— Tatuś nie powinien nam stać na przeszkodzie. Starzy ludzie nie muszą walczyć i nie muszą się dać zabijać, nie powinni więc nam przeszkadzać, kiedy chcemy coś mieć z życia. Oni już użyli dobrego w swoim czasie.

Tyle było słuszności w tem małym przemówieniu, że Thirza odparła:

— Prawda. Może on sobie z tego nie zdaje należycie sprawy.

— Chcę sobie zapewnić Cyryla, ciociu. Chcę przeżyć z nim wszystko co się da, jak długo jeszcze mam tę możliwość. Nie wiem, czy żądam za wiele. Pomyśl, że mogę go nigdy więcej w życiu nie zobaczyć.

Thirza wsunęła rękę pod ramię dziewczęcia.

— Rozumiem, — rzekła, — ale, Nolli, przypuśćmy, że kiedy wszystko minie i będziemy znowu mogli żyć i oddychać normalnie, uświadomisz sobie, żeś popełniła błąd?

Noel potrząsnęła przecząco głową:

— Nie popełnię błędu.